



KS. DARIUSZ JAŚLARZ

redaktor wydania

Na ludzi mających zwa-
riowane pomysły sto-
sujemy wiele określeń. Jak
ocenić pomysł wdrapania
się na wysokość 6000
m? – Bywa, że kluczową
umiejętnością może się
okazać przekonanie żony
– śmieje się Leszek, je-
den z bohaterów artykułu
Karoliny Pawłowskiej (str.
IV–V). Są też i tacy, którzy
mają skromniejsze ma-
rzenia. A w ich realizacji
pomóc może każdy z nas.
Zapraszam do lektury
tekstu Julii Markowskiej
(str. III). Tymczasem weź-
my palmy i pospieszmy
na spotkanie z Królem...

ZA TYDZIEŃ

- Zastanowimy się, CZY WARTO BYĆ RODZINĄ ZASTĘPCZĄ
- Odwiedzimy PARAFIĘ W MAŁE-CHOWIE

Oddział Onkologii i Chemioterapii otwarty

Jak feniks z popiołów

– Nie sztuką jest się spalić,
ale sztuką jest spalić się
i zyskać – powiedział
Andrzej Kondaszewski,
dyrektor koszalińskiego szpitala
wojewódzkiego.

Oddział onkologii i chemo-
terapii ma dwa piętra. Na pierw-
szym przebywają pacjenci, wy-
żej są pokoje lekarskie, socjal-
ne i pomieszczenia gospodar-
cze. W części chemioterapii mie-
ści się 20 łóżek, na onkologii
18. Po raz pierwszy udało się ze-
brać w jednym miejscu poradnię
onkologiczną, radiologię, podod-
dział chirurgii onkologicznej, pion
diagnostyczny i pracownię przy-
gotowującą leki do chemioterapii.
Remont i wyposażenie oddziału
kosztowało 1,8 miliona złotych.
Udało się je zebrać dzięki sponso-
rom, Urzędowi Marszałkowskiemu
i koszalinianom. W maju ubie-
głego roku podczas ulicznej kwe-
sty wrzucili do skarbonki ponad
30 tysięcy. Niestety, szpital nie
ma jeszcze wynegocjowanych z



RADEK KOLEŚNIK

Narodowym Funduszem
Zdrowia wszystkich pie-
niędzy na leczenie cho-
rych. – Na razie „pod-
kradamy” pieniądze na
leczenie oddziałom we-
wnętrznym – mówi Han-
na Symonowicz, ordynator. – A
przecież one nie mają ich za du-
żo. – Zawsze chodzi nam o do-
bro pacjenta – zapewniał Mariusz
Jurkiewicz, szef delegatury NFZ –
więc na pewno dojdziemy w spra-
wie finansów do porozumienia
z dyrektorem szpitala. Rozmowy
rozpoczną się w tym tygodniu.

W koszalińskim szpitalu wy-
odrębnionej onkologii dotąd nie

**Abp Kazimierz
Nycz poświęcił
nowy oddział
onkologii
i chemioterapii**

było. Dla pacjentów z
chorobą nowotworową
przeznaczone były dwie
sześciuosobowe sale na
laryngologii. Byli lecze-
ni także na każdym od-
dziale, w zależności od

umiejscowienia choroby. Wielu z
nich z powodu braku miejsca mu-
siało leczyć się w Szczecinie

Przypomnijmy: pożar, który
wybuchł w październiku 2005 r.,
strawił poddasze jednego ze szpi-
talnych budynków. Mieścił się tam
m.in. pododdział onkologii. Od-
budowa zniszczonych pomiesz-
czeń trwała półtora roku.

JULIA MARKOWSKA

NA POMORZU KONIEC ŻNIW



Ta informacja to nie żadna złośliwa,
dziennikarska kaczką. W okolicach
Kołobrzegu zakończyły się zbiory...
trzciny. Powinny skończyć się miesiąc
wcześniej, ale przedłużyły się z powodu
deszczowej pogody. Jak się okazuje,
zbieranie tych roślin jest znakomitym
interesem i zajmuje się nim wiele firm.
Zbiory znajdują sporo nabywców, szcze-
gólnie z branży budowlanej. Trzcina wy-
korzystywana jest przede wszystkim do
pokryć dachowych i płotów. Jak się oka-
zuje, podstawowe zasady jej przetwarza-
nia nie zmieniają się od tysięcy lat, są tyl-
ko trochę udoskonalone przez zdobycze
nauki i techniki. Wytrzymałość strzechy
poprawiło wykorzystanie
druetu ze specjalnego sto-
pu chromoniklu zamiast
tradycyjnych powrozów.

**Żniwa się
skończyły, pora
na trzcinowe
dożynki**

JM

Pod patronatem Marszałka



KAROLINA PAWŁOWSKA

KOSZALIN. Koszaliński ośrodek szkolący funkcjonariuszy Straży Granicznej otrzymał imię Józefa Piłsudskiego. Uroczystości pożegnano również sztandar nadany 19 marca 1992 r. i z honorami powitano nowy. Przy dźwiękach „Warszawianki” wygrywanej przez Podhalańczyków – orkiestrę reprezentacyjną Straży Granicznej uroczystości zaprezentowano nowy sztandar. Na płachcie sztandaru wyszyto słowa: Bóg, Honor, Ojczyzna oraz imię patrona jednostki. – Niech patron i słowa na sztandarze będą dla was inspiracją do jesz-

cze lepszej pracy – życzył swoim podwładnym komendant główny Straży Granicznej, gen. bryg. Mirosław Kuśmierczak. Symbolicznego przybicia sztandaru do drzewca dokonali m. in. abp Kazimierz Nycz, bp polowy Tadeusz Płoski oraz Jarosław Brysiewicz, wiceminister MSWiA. Uroczystości nadania imienia obchodzono tym huczniej, że zbiegły się z piętnastoleciem istnienia Centralnego Ośrodka Szkolenia Straży Granicznej. W ciągu tego czasu mury ośrodka opuściło ponad 1100 oficerów, 3500 chorążych i 2600 podoficerów.

Misterium cierpienia



RADEK KOLEŚNIK

Aktorom udało się pokazać prawdziwe cierpienie

KOSZALIN. Koszalinianie mieli okazję przeżyć misterium Męki Pańskiej. Młodzież ze wspólnoty Ruchu Światło-Życie przez ponad miesiąc niezwykle intensywnie przygotowywała się do przedstawienia straszliwych cierpień Jezusa. Aktorzy nie skupiali się na odzwierciedleniu dawnego wyglądu Jerozolimy i zamieszkujących ją ludzi. Poza odgrywających rolę Jezusa i Piłata, pozostali byli ubrani w codzienne stroje. Ta prostota przekazu i formy spowodowała, że znakomicie poka-

zali emocje i przeżycia związane z misterium. – Mieliliśmy niepowtarzalną okazję zbliżenia się do cierpiącego Chrystusa – mówi Marta Strzelecka, odtwórczyni roli Marii. – To, co zrobiliśmy, było faktyczną modlitwą i ofiarowaniem siebie. Za pomocą prostoty i symboliki udało się zmotywować zgromadzonych w kościele widzów do zastanowienia się nad swoim życiem. Przy każdej ze stacji narrator przyrównywał nasze codzienne postępowanie do przyczyniania się do ukrzyżowania Zbawiciela. – Wstrząsające, brak mi słów – to był najczęstszy komentarz, jaki można było usłyszeć od widzów. Misterium będzie można obejrzeć jeszcze 1 kwietnia o godz. 20.00 w kościele Podwyższenia Krzyża Świętego przy ulicy Franciszkańskiej w Koszalinie. Realizm przedstawienia powoduje, że nie powinny oglądać go dzieci.

Recydywista rekordzista

KOŁOBRZEG. Sądy 24-godzinne działają od niedawna, a już notowane są pierwsze rekordy. 59-letni mieszkaniec powiatu kołobrzeskiego Czesław S. ma na koncie już dwa wyroki wydane w trybie przyspieszonym. Prawdopodobnie pierwszy w Polsce „recydywista” sądów 24-godzinnych skazany został dwukrotnie za to samo przestępstwo: jazdę po pijanemu na rowerze. 13 marca Czesław S. został skazany na 10 miesięcy ograniczenia wolności oraz czteroletni zakaz prowadzenia pojazdów mechanicznych i rowerów. W czasie ograniczenia wolności ma przez 30 dni w miesiącu wykonywać nieodpłatną pracę. Tydzień póź-

niej znów stanął przed sądem. Kołobrzeski sąd rejonowy skazał niefortunnego rowerzystę na 8 miesięcy więzienia w zawieszeniu na 3 lata oraz pięcioletni zakaz prowadzenia pojazdów. – Rzeczywiście jest to pewna ciekawostka, bo jeszcze nam się nie zdarzyło, żeby ktoś tak szybko trafił przed sąd za to samo przestępstwo – komentuje wiceprezes Sądu Rejonowego w Kołobrzegu sędzia Marek Grzymkowski. Do tego, czy szybszy czas orzekania przyczyni się do zmniejszenia liczby pijanych kierowców, sędzia podchodzi sceptycznie. – Być może, choć zdecydowanie trzeba na to poczekać – dodaje Grzymkowski.



PRZEMYSŁAW GRYN

Pomimo dwóch szybkich wyroków Czesław S. nie zmienia swoich przyzwyczajęń. Do przydrożnego rowu wpadł „na piechotę”

Uczta miłości

LUBIECHOWO. Uroczystości św. Józefa Oblubieńca obchodzono nie tylko w dużych miastach i kościołach parafialnych. W kościele filialnym w Lubiechowie, należącym do parafii Karlino, przeżywano ten dzień nie mniej uroczysto. Po Mszy św., odprawionej przez ks. Tadeusza Mazura, proboszcza sąsiedniej

parafii Robuń, mieszkańcy wsi zaprosili księży pracujących w parafii, sąsiadów i gości na prawdziwą agapę. Lubiechowskie gospodynie wprost prześcigały się w przygotowaniu smakołyków i ciast, z których słyną w okolicy. Nie trzeba wiele, by poczuć się wspólnotą, nawet w takiej mikroskali.



KAROLINA PAWŁOWSKA



Pomóżmy dzieciom wyjechać na wakacje

Wspólnota miłości

Tutaj dzieci przychodzą, bo chcą. Uczą się liturgii, znajomości Ewangelii, odpowiedzialności za drugiego człowieka. Znajdują w swoim młodym życiu miejsce na Boga.

– Zaczęłam przychodzić tutaj, jak miałam pięć lat – wspomina Gabrysia, dwunastolatka. – Nie opuszczam prawie żadnego spotkania, bo jest mi po prostu dobrze, tutaj nigdy nie czuję się samotna. Mały i Młody Apostoł to wspólnota wieczernikowa, działająca od dwudziestu lat przy parafii katedralnej. Jej zadaniem jest włączanie katolickiej młodzieży w żywą wspólnotę Chrystusowego Kościoła. Od ośmiu lat wspólnotą zajmuje się siostra Michaela. Jest cichą i skromną osobą, która swoją pogodą ducha i miłością bez problemu zjednuje sobie dzieci. Dla wielu z nich jest autorytetem.

– Bardzo lubię siostrę Michaelę, jest dla mnie bardzo ważna – mówi Gabrysia. – Dużo mnie nauczyła, dlatego na bierzmowaniu przyjmę imię, które nosi.

Dzieje się tak dlatego, że dla opiekunki najistotniejsze jest przekazanie miłości Bożej.

– U nas śpiewają wszystkie dzieci, choć nie wszystkie mają dobry głos – zdradza siostra Michaela. – Ale za to wszystkie chcą śpiewać radośnie Bogu. Swoją radością upiększają liturgię niedzielnej Eucharystii.

Do tańca i do różańca

– Nasze spotkania to nie tylko modlitwa. Grupa spotyka się dwa razy w tygodniu. Ze stałych elementów spotkań jest wspólne czytanie niedzielnej Ewangelii. W niedzielę przed Mszą świętą ćwiczymy psalmy i pieśni. Pozostałe punkty „programu” przynosi życie, bo dzieci opowiadają o tym, co było w szkole, z czym mają problem. O wiele



RADEK KOŁEŚNIK

łatwiej pogadać o swoich problemach z życzliwymi rówieśnikami niż z rodzicami, którzy nie zawsze mają czas.

Jednak to nie wszystko. Wspólnie obchodzone święta i urodziny to tradycja. Modlitwa, bożonarodzeniowy opłatek, wielkanocna pascha uczy młodzież głębokiego przeżywania świąt.

– Dzięki spotkaniom we wspólnocie bardziej rozumiem Pismo Święte – mówi Sylwia, nastolatka. – Bo gdy z siostrą i animatorkami wspólnie je czytamy, wszystko staje się prostsze i o wiele ciekawsze.

Pani Wioletta Pawliczek we wspólnocie jest od kilkunastu lat. Po raz pierwszy przyszła tutaj, gdy miała kilka lat. Kiedy dorosła, okazało się, że może pomóc w pracy z młodszymi. I tak już zostało. Jest jedną z czterech animatorek, które czuwają nad nauką śpiewu dzieci i wspierają s. Michaelę.

Siostra dała słowo

Wakacyjne rekolekcje to szansa na dokładniejsze wsluchanie się w słowa Ewangelii i nauka życia w Kościele. Uczy funkcjonowania w innym niż rodzinie środowisku.

– Podczas naszych jednodniowych wyjazdów okazało się, że nie wszystkie dzieci wiedzą, jak wygląda krowa, i tę wiedzę też musimy uzupełnić – mówi siostra pallotylnka.

Dzieci pracownie numerują nagrody, których jest ponad trzytę

Niektórzy mali apostołowie od razu zastrzegali, że rodzice zabronią im pojechać.

Naciskani przyznawali, że chodzi o pieniądze, a raczej ich brak.

Opiekunka obiecała dzieciom, że załatwi pieniądze i pojadą. Dlatego wraz z rodzicami i animatorkami w grudniu pomogła dzieciom zrobić i sprzedać święteczne kartki, ozdoby i stroiki. Teraz organizuje loterię fantową, nad którą patronat objęła koszalińska redakcja „Gościa Niedzielnego”.

Wspólnota chce pojechać do Gowidlina na Kaszubach. Dzieci mają dużo przebywać na świeżym powietrzu. Codziennie uczestniczyć we Mszy świętej i poprzez wspólne rysowanie i śpiewanie poznawać naukę Chrystusa. Mają nauczyć się także dbania o porządek i czystość.

Na obóz ma pojechać ponad czterdzieścioro dzieci i sześcioro opiekunów. Jednym z nich jest ksiądz Marcin Pio-

trowski, który będzie sprawował pieczę nad duchowym rozwojem dzieci.

Eleganckie pióra i przytulanki

Biskup senior Ignacy Jeż dołożył fant do puli nagród. Podarował album fotografii Adama Bujaka „Kraków nocą”. A dla szczęśliwca, który go wylosuje, wykaligrafował dedykację. Gorąco poparł również ideę loterii.

– Dziecku trzeba poświęcać bardzo dużo uwagi – przekonuje biskup senior. – I nie chodzi tylko o to, by miało ubranie, jedzenie i dach nad głową. Trzeba myśleć o jego przyszłości i zdrowiu. Wyjazdy na kolonie to nie tylko zmiana klimatu, ale nauka drugiego człowieka. Dlatego gorąco proszę Czytelników „Gościa Niedzielnego” o wsparcie tej inicjatywy.

Biskup żartuje, że album tak mu się podoba, aż sam przyjdzie i spróbuje go wylosować. Może być to trudne, bo losów będzie ponad trzytę. A będzie można wygrać najróżniejsze rzeczy. Eleganckie pióra od prezydentów miasta, książki od senatora, ubranka dziecięce od Radia VOX oraz płyty DVD i CD, kasety, kalendarze ufundowane przez naszą redakcję. Choć najcenniejsze są chyba zabawki i maskotki, które na ten cel podarowały dzieci ze wspólnoty. Nie było to łatwe, podzieliły się tym, co miały. Oddały ukochane misie i przytulanki. By być razem.

JULIA MARKOWSKA

ZAPRASZAMY NA LOTERIĘ

W Niedzielę Palmową (1 kwietnia) dzieci będą sprzedawać losy. Loteria będzie przeprowadzona przed katedrą w godzinach od 9.00 do 14.00. Minimalna cena losu to dwa złote, cena maksymalna nie jest ustalona. Nasi Czytelnicy będą mieli także okazję spotkać się z ks. Dariuszem Jaślarzem, dyrektorem koszalińskiego oddziału „Gościa Niedzielnego”. Można będzie porozmawiać z nim na temat gazety i nabyć jej aktualny numer.

Cepry na „Dachu

Informacja o tym, że w Piłe działa Klub Wysokogórski, wywołać może zdumienie i pewną konsternację. Ale chyba nie większą niż wiadomość, że **chłopaki chcą w tym roku zdobyć dwa siedmiotysięczniki.**

tekst
KAROLINA PAWŁOWSKA



SLAWEK NAKONECZNY

Do Tadżykistanu jadą w lipcu. Najpierw podejmą próbę wejścia na Pik Korzeniewskiej (7105 m n.p.m.), potem zejście do bazy na lodowcu Moskwinia i północną ścianą na Pik Somoni, dawniej zwany Kommunizma (7495 m n.p.m.). Całość wyprawy powinna zamknąć się w czterech tygodniach. Tak planują. Ale naprawdę sami jeszcze nie wiedzą, czego się spodziewać.

Nie takie cepry...

Fakt, że pochodzą z Wielkopolski, wcale nie znaczy, że nie są doświadczonymi alpinistami. – Do tej pory wspinaliśmy się na cztero- i pięcioletysięczniki – opowiada Robert Piwowarczyk, szef piłskiego Klubu Wysokogórskiego. Ma za sobą m.in. wyprawy na Matterhorn, Elbrus i Ushbę. To jest pierwszy kon-

takt z taką wysokością, więc tak naprawdę nawet nie wiemy, jak nasze organizmy będą reagować i jak szybko będziemy się aklimatyzować. Do Tadżykistanu jadą, bo – jak sami mówią – Himalaje są na razie poza możliwościami finansowymi. A na Piki wspiniała się rok temu ekipa z Polski, więc mają pewne dane i przedsmak tego, co mogą przeżyć. – Finansowo na pewno Pamir jest jeszcze dostępny. Nie trzeba zastawiać samochodu czy mieszkania, żeby tam pojechać, i geopolitycznie też jest to teren dosyć łatwy. W końcu to nie Afganistan – śmieje się Robert. – Pamir jest dość dostępny, ale daje już przedsmak czegoś niebiańskiego – dodaje Leszek Darmochwał. Był już w Alpach, na Kaukazie i w Norwegii. Teraz uznał, że czas ruszyć dalej na Wschód. – Kiedy w 1999 roku

Wprawdzie Tatry to nie Pamir, ale potrenować tutaj też dobrze

jechałem po raz pierwszy na Mount Blanc, dla moich sąsiadów z Chojnic było to czymś niesamowitym – uśmiecha się. – Jak ktoś z małego

miasteczka może wybierać się na poważną wyprawę? To było jak wykroczenie poza schemat.

Logistyka i pogoda

Bardziej boją się, że jeśli coś zawiedzie, to zawiedzie na nizinach. Najbardziej obawiają się tamtejszej biurokracji i specyficznego, wschodniego podejścia do czasu. – Można dostać się pod górę w trzy dni, a równie dobrze może to trwać tydzień. A każdy dzień jest jednak dość istotny, skoro zakładamy, że wyprawa będzie trwała miesiąc – wyjaśnia Piwowarczyk. – Z bazy do miejscowości podgórskiej, gdzie wszystko się

zaczyna, jest siedem dni trekkingu lub kilka godzin śmigłowcem. Coś takiego jak transport publiczny działa na bardzo małą skalę. Bardziej wszystko opiera się na przewodnikach prywatnych. Zdarza się, że jakaś firma jest monopolistą i dyktuje bardzo wysokie ceny na przykład za przeloty helikopterem. Tymczasem budżet jest dość ograniczony. – Sześć tysięcy na osobę – mówi Robert, a widząc swoją zdumioną minę, dodaje – To mało? Trzy tygodnie na Kaukazie kosztowały mnie tysiąc dwieście złotych... Znacznie droższy jest sprzęt. – Miałem sprzęt, który był dobry w Alpy i wydało mi się, że to wystarczy, kiedy przygotowywałem się na Ushbę. Okazało się, że to, co mam, jest przynajmniej o klasę za słabe. Musiałem kupić sobie drugi, taki „pancerny” komplet: kurtka, lina, buty, raki, dwie „działy” – wymienia Darmochwał. – Na „dzień dobry” kosztowało to sześć tysięcy. A przyzwoite wyposażenie to zwykle od dziesięciu do piętnastu tysięcy.

Pogoda w Pamirze Zachodnim jest dość kapryśna. Bardzo niskie temperatury, silne wiatry, nagle zmiany warunków atmosferycznych. – Ryzyko załamania pogody jest w zasadzie takie samo, jak w każdych innych górach, tyle że na tej wysokości wszystko dzieje



KAROLINA PAWŁOWSKA

Świata”

się o wiele szybciej – tłumaczą mi chłopaki. – Jak jest pogoda, to po prostu się idzie i już. A jak jest załamanie pogody, to wchodzi się do innego świata. Zresztą wcale nie trzeba wspinąć się tak wysoko, by góry mogły utrzymać nosa. Pokory może nauczyć choćby Beskid Żywiecki. – Zaskoczyła nas mgła i niesamowity wiatr, który nie pozwalał ustać na nogach. To było nocne, czterogodzinne wejście na Babią Górę. Normalnie wchodzi się w niecałe dwie godziny – śmieje się Piwowarczyk. – Głupio nam było zadzwonić po pomoc, bo przecież od razu by się rozniosło, że kolesie z Piły pobłądzili na Babiej Górze. A wystarczyło zabrać kompas, który został na dole w plecaku.

Etyka na 6 tysięcy

Robert i Leszek spotkali się przypadkiem. – Przygotowywałem wyprawę zimą na Ushbę, to miało być pierwsze polskie wejście i szukałem informacji o tej górze w Internecie. I znalazłem jednego faceta, Darmochwałę, który już tam był, więc zacząłem szukać z nim kontaktu. Okazało się, że mieszka sto metrów ode mnie – śmieje się Robert.

O ile w Alpach wyciąga się komórkę i zazwyczaj można od ra-

zu uzyskać pomoc, chyba że pogoda będzie fatalna, o tyle w Pamirze pomoc jest bardzo ograniczona. Tam liczy się w zasadzie wyłącznie na ludzi z teamu. Dlatego ważne, z kim się jedzie. Robert poważnie, gdy pytam, czy na sześciu tysiącach obowiązuje „ziemska” etyka. – Chciałoby się, żeby tak było – zamyśla się. – Są goście, którzy potrafią z ośmiu tysięcy znieść człowieka na dół, na co były w tym sezonie przykłady w Himalajach i Karakorum, a są ludzie, którzy na sześciu tysiącach przejdą obok człowieka, niemal go depcząc, i nie sprawdzą, czy nie potrzebuje pomocy. Tak zginął na Piku Lenina nasz rodak – ludzie mijali go obojętnie. Włącza się jakaś znieczulica i chęć wejścia na szczyt. Decyzje podejmuje się wspólnie, ale na pewno są one trudniejsze niż na dole. Zwłaszcza że w grę wchodzi niemałe pieniądze, czas, który się na to poświęciło. Są indywidualne ambicje, ale i dobro zespołu, a co za tym idzie zdrowie i życie. – Byliśmy na Kaukazie w 2005 roku. Podczas ataku szczytowego na Elbrus człowiek, którego poznaliśmy dzień wcześniej i szedł z nami, wpadł do szczeliny – wspomina Piwowarczyk. – Zrobiliśmy z kolegą tysiąc metrów na dół po linę i tysiąc metrów w górę na wysokości ponad pięciu tysięcy metrów.

Akcja trwała osiem godzin i człowiek wyszedł całkiem siny, ale żywy. Potem razem weszliśmy na szczyt. Zresztą facet był niesamowity, miał ponad sześćdziesiąt lat. Kiedy zeszliśmy na dół, stwierdził, że on będzie się tu nudził i idzie jeszcze raz. Tak samo nasz kolega w Ameryce Południowej na Aconcagua nie wahał się zrobić dwa kilometry górą – dół na znacznych wysokościach i uratować dwóch gości, którzy tam dogorywali.



Kluczowa umiejętność

Bieganie, basenik albo rower, trening z obciążeniem, żeby przyzwyczajać nogi i kręgosłup. Albo symulowanie na drzewach spadania w szczelinę, by wyrobić sobie sekwencję ruchów potrzebną do wydostania się z lodowej pułapki, bo najważniejsze to nie panikować. To przygotowania między wyprawami. Co jest najważniejsze? – Kluczową umiejętnością może się okazać przekonanie żony – śmieje się Leszek. – Rozwodem może nie straszyc, ale zadowolona do końca nie jest. Raz chciałem zaszczerpić żonie moją pasję, ale nie udało się. Stwierdziła, że wchodzenie na górę tylko po to, żeby zobaczyć, co jest na dole, jest bez sensu. Teraz staramy się wypracowywać kompromis. Ja jadę raz, drugi w góry, a resztę urlopu spędzamy razem nad morzem. Wtedy idziemy na wy-

Planowane trasy podejść na pamiirskie siedmiotysięczniki

dmy, żeby nie było za płasko. Każda informacja o wypadku w górach przed wyjazdem jest argumentem w rękach rodziny. – To zawsze jest kość niezgody – dodaje Robert. – Ania żyje trochę górami, więc rozumie tę potrzebę, ale z rodzicami jest pewien problem.

Góry są bezwzględne. Nie jest to zwykły sport i zabawa. I nie ma znaczenia, jak wysoki jest szczyt. Chłopaki spokojnie opowiadają o trzech dobach zimą na Kaukazie na czterech tysiącach metrów i zamrażniętych zmkach od namiotów. Albo o lawinie, którą cudem udało się przeżyć. – Ale wtedy wydierałem się na całe gardło, że nigdy więcej w żadne góry nie pojedę – przyznaje Leszek. – Tyle że, jak wróciłem do domu, odkupiłem sprzęt i pojechałem tam znowu. Bo to uzależnia. Już powoli zastanawiają się, co po powrocie z Tadżykistanu. Kusi Ameryka Południowa. ■



Wspomnienia ks. Antoniego Jezierskiego z Piły

Pod parasolem Matki Bożej

Stuchając opowiadającego o swym życiu 94-letniego księdza Antoniego Jezierskiego, czasami odnosi się wrażenie, że są to opowieści nie z tej ziemi.

Urodził się 11 czerwca 1913 r. w Podlesiu na Kujawach, w parafii Modzerowo, jako najmłodsze, piąte dziecko Stanisława i Antoniny z domu Maroszczyk. Jego dzieciństwo nie było usłane różami.

Początek gehenny

Po ukończeniu szkoły podstawowej losem młodego chłopca życzliwie zainteresował się proboszcz parafii w Boniewie, ks. Arnold Przeradzki. Młody Antoni trafił pod opiekę księży salezjanów w Łądzie, gdzie ukończył Niższe Seminarium Duchowne. W 1934 r. trafił do nowicjatu, a w 1935 r. złożył pierwsze śluby. Lata 1937–1939 to asystencja w Płocku i wychowawstwo w domu dziecka.

– To była trudna, ale niezwykle piękna praca – wspomina. – Chłopców mieliśmy ponad 60, w wielu przypadkach pełnych sierot. Razem z nimi przeżyliśmy pierwszy dzień wojny. Potem razem uciekaliśmy z Płocka.

W 1939 r. w Płocku uruchomiono Wyższe Seminarium Duchowne. A po przyjsciu okupanta zaczęło się tajne nauczanie. – Tajne komplety musiały zastąpić normalne wykłady, gdyż seminarium zajęło gestapo, dając wszystkim na ewakuację 48 godzin – mówi ks. Antoni. – Wreszcie 8 kwietnia 1940 r. gestapowcy zaarrestowali naszą dużą grupę.

Dachau i numer 3945

Wszystkich zatrzymano w więzieniu w Płocku. Następnie przewieziono ich do obozu przejściowego w Działdowie. – To było ciężkie więzienie – wspomina ks. Jezierski. – Niemcy zgromadzili tam intelektualistów. Byli wśród nas księża, klerycy, sędziowie itd.

Z więzienia w Działdowie 14 kwietnia wraz z innymi trafił do obozu w Dachau. To był pierwszy wzorcowy niemiecki obóz koncentracyjny. – Wzorcowy, ale to nie znaczy, że dobry – opowiada. – Dostałem numer obozowy 3945. Na dzień musiał nam wystarczyć niewielki chleb na trzech. Oskarżyli mnie o to, że jestem fanatycznym Polakiem i nauczycielem.

Jednak Dachau nie było ich miejscem docelowym. – Naszym nowym adresem był Mauthausen-Gusen. A tam czekały na nas kamieniołomy.

Okrutni kapo

Był to prymitywny obóz. Dopiero się organizował. Nie było kanalizacji, wody bieżącej, a toaletami były wykopane doły. Do tego więźniów pilnowali wybitnie okrutni kapo.

– Byłem tam przez ponad pięć lat i nie pamiętam jednego spokojnego dnia – wspomina ks. Antoni. – Bito nas i zabijano bez mrugnięcia. Za nic. Każdy kapo był wcześniejszym „wybitnym” kryminalistą. Prześcigali się w swych okrucieństwach, bo dostawali od esesmanów nagrody. Najczęściej porcję jedzenia.

Każdy więzień powinien wytrzymać w obozie najwyżej 3 miesiące. Nieodżywieni więźniowie pracowali ponad siły w kamieniołomach. –

Trudno było to wytrzymać, a codziennego noszenia ciężkich kamieni na plecach nie mogło przeżyć wielu – mówi były więzień. – Wielu z moich współwięźniów zostało tam na wieki. Nie ma ich grobów. Ale wśród nich byli też i szczęśliwcy. Dobrze było tym, którzy potrafili mówić po niemiecku. A to doskonale robili Ślązacy. Ja miałem szczęście spotkać wielu przyjaciół – współ-

więźniów Ślązaków i chyba dzięki temu trafiłem na lepszą pracę. Budowaliśmy bowiem baraki, a to niecodziennie, bo były to tylko ściany bez okien i podłóg. W takich zresztą mieszkaliśmy.

Tyfus i palec Boży

Potem jednak trafiłem do grupy do pracy przy regulacji rzeki. To już była niezwykle ciężka praca, w podmokłym terenie. Ta praca wykańczała mnie fizycznie. Czułem potężny głód, a ważyłem 45 kilogramów. Pamiętam doskonale również sytuację, gdy w baraku jeden z kole-

gów dał mi do zjedzenia surowego kartofla. Był znakomity, a smakował jak wiosenny ogórek. Ale i to nie mogło mnie uratować. Moje nogi zaczęły puchnąć, to był koniec – wspomina ks. Antoni.

Ale pewnego dnia wszystko się zmieniło. W obozie wybuchła epidemia tyfusu, a tego Niemcy bali się strasznie. Na tydzień obóz zamknięto. Więźniowie nie wychodzili codziennie do pracy i mogli odetchnąć od nieludzkiej pracy. – To chyba mnie ocaliło i jestem pewny, że to był Boży palec i opieka Matki Bożej. Trafiłem do lżejszej pracy i mogłem dożyć do wyzwolenia.

Obóz w Mauthausen-Gusen został wyzwolony 5 maja

Ks. Antoni Jezierski SDB wie, że nie byłoby go na tym świecie bez parasola Matki Najświętszej

Z lewej: Dowód osobisty, który ks. Antoni otrzymał w Linzu po oswobodzeniu z obozu

1945 r. Po oswobodzeniu ksiądz Antoni szybko wrócił do Polski. – Po wakacjach przełożeni skierowali mnie do WSD salezjańskiego w Krakowie. Po niemal dwóch latach, 29 czerwca 1947 r. otrzymałem święcenia kapłańskie.

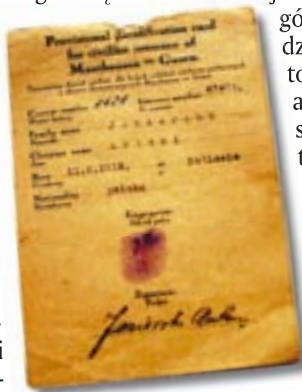
Najpierw była praca w Płocku. Potem w Łodzi zaczął wykładać fizykę i matematykę w Niższym Seminarium Duchownym. Po jego likwidacji wrócił do Płocka. Dalej od 1963 r. do 1970 r. służył w Rumi. Od 1970 r. jest pilaninem. Pomaga, ile może w parafii pw. Świętej Rodziny.

Parasol Matki Bożej

Ks. Antoni pytany, skąd czerpie tyle sił, tyle energii, mimo że epizodami swojego dramatycznego życiorysu mógłby oddzielić wielu innych ludzi, odpowiada z uśmiechem: – Przez swoje 94 lata doznałem tylko wielkiej opieki Bożej i przekonałem się, że moja Najświętsza Matka była przy mnie w każdej godzinie mojego żywota, także i w obozie, bo bez Niej nie mógłbym przeżyć nawet jednego dnia.

Po tylu doświadczeniach ksiądz Antoni wciąż emanuje radością. To chyba tajemnica jego życia.

tekst i zdjęcia
WALDEMAR KUJAWA



Nowe logo, nowy wizerunek uzdrowiska Kołobrzeg

Marka w pięciu kolorach

W okresie ostrej konkurencji, szczególnie na rynku turystycznym, to właśnie marka i emocje, które wzbudza, stają się tym, co decyduje o wyborze konkretnej oferty. Idąc tym tropem, Uzdrowisko Kołobrzeg SA ma nowe logo.

Na ogłoszony w grudniu ubiegłego roku konkurs wpłynęło łącznie 130 zgłoszeń, w których przedstawiono prawie 300 projektów, jednak ich ilość nie przekładała się na jakość. Do komisji sędziowskiej zaproszono fotoreportera i właściciela agencji wydawniczej „Kamera”, Roberta Gamera, malarza i dyrektora Galerii Sztuki Współczesnej, Dariusza Kaletę, oraz miejskiego plastyka Ireneusza Szuniewicza. Do końcowej selekcji jury zakwalifikowało kilkanaście znaków, które były na bardzo wysokim poziomie.

Zwycięzca

Spośród nich wybrano dwa projekty finałowe, nad którymi jurorzy dość długo dyskuto-



KAROLSKIBA

wali. Decyzja o wyborze przedstawionego logotypu zapadła niemal jednogłośnie. Zwycięzcą został Jerzy Rupik zamieszkały w Mikołowie. – Naszym zdaniem, nowe logo pozwoli wyróżnić się spośród konkurencji i sprawi, że uwaga kupujących zostanie skierowana na nasze usługi. Za jego pomocą powiemy, kim jesteśmy, co oferujemy, do kogo kierujemy naszą ofertę – uważa Marek Olszewski, wiceprezes Zarządu Uzdrowisko Kołobrzeg SA. – Zaczynając od

Marek Olszewski,
wiceprezes
Zarządu
Uzdrowisko
Kołobrzeg SA,
prezentuje nowe
logo

dolnego, jasno niebieskiego wycinka kuli, jest to symbol czekającej na uruchomienie rozlewni wody mineralnej „Perła Bałtyku”, powyżej faluje morze w towarzystwie naszej kołobrzesckiej leczniczej wody w postaci solanki, natomiast równik opasuje nasz największy skarb – borowina, wyżej w kolorze zielonym park zdrojowy, który wkrótce, wysiłkiem środków Unii Europejskiej i pracy samorządu kołobrzesckiego, wróci do swej świetności, a na samej górze dzieło

wieńczy czapa, czyli nasza złociста szeroka plaża i coraz cieplejsze słońce – wyjaśnia symbolikę znaku wiceprezes.

Zamknięte w kuli

Według Dariusza Kalety, nowy znak znaczy: „idziemy naprzód, dajemy przestrzeń”. Można go różnie interpretować. – Przede wszystkim forma znaku jest bardzo przyjazna, bo kulą nie można się skaleczyć. Poza tym kula jest formą archaiczną – tłumaczy dyrektor Kaleta. – Kojarzy się z ciepłem, z czymś miłym: owoc jest okrągły.

Nowe logo ładnie prezentuje się zarówno na kopertach, jak i wizytówkach. Na razie autor projektu wykonał kilka sztuk, by sprawdzić efekt. Wydawnictwo „Kamera” przygotowuje w porozumieniu z autorem produkcję nowego logo na kopertach, papierze firmowym i wizytówkach. Do końca marca na warszawskie targi turystyczne materiały powinny być już gotowe. Tak samo duży firmowy znak – obracająca się świetlista, pięciokolorowa kula. **MARZENA BAMBER**

Świąteczko dla chorych na stwardnienie rozsiane

Ośrodek w Bornem-Sulinowie

Jest ich w Polsce około 60 tysięcy. Wszyscy potrzebują pomocy, rehabilitacji. Niestety, ośrodków leczenia tej choroby jest jak na lekarstwo.

Mowa o chorych na stwardnienie rozsiane. Jeszcze do niedawna w Polsce istniał jeden ośrodek rehabilitacji chorych na SM. Mieści się w Dąbku koło Ciechanowa. Niestety, dostanie się do niego nie jest łatwe.

Niedawno w Bornem-Sulinowie powstał drugi ośrodek rehabilitacyjny dla chorych na tę chorobę. Obiekt został wybudowany według zachodnich norm. Jest nowoczesny i pozbawiony barier architektonicznych. W każdym po-

koju są zamontowane drzwi otwierane nie na zamek, ale na detyk. Każdy z pokoiów wyposażony jest też w telewizor oraz łazienkę z chwytakami.

Osoby chore mogą korzystać z zabiegów rehabilitacyjnych: krioterapii, basenu, kinezyterapii, muzykoterapii. Wyszkolony personel medyczny codziennie prowadzi zajęcia ruchowe.

Niezbędna motywacja

– W naszym ośrodku leczymy przede wszystkim spastyczność, czyli przykurcze mięśni. Dzięki pobytowi tutaj chorzy odzyskują możliwość samodzielnego poruszania się. Ważne też jest, że

pacjent po skończonym turnusie ma motywację do dalszej rehabilitacji w warunkach domowych – opowiada dr Mariusz Kowalewski, dyrektor Ośrodka Rehabilitacji Chorych na Stwardnienie Rozsiane w Bornem-Sulinowie.

Smutna strona

Jednorazowo placówka może przyjąć 35 pacjentów. Niestety, NFZ zakontraktował jedynie świadczenia dla 25 pacjentów. Za czterotygodniowy pobyt w ośrodku, wyżywienie i całodobową pomoc medyczną trzeba dopłacić z własnej kieszeni około 1800 zł. Nie każdego jednak na to stać. – 70 proc. chorych nie stać na przy-

jazd do ośrodka. To smutne. Uważam, że państwo powinno sfinansować pobyt pacjenta w 100 proc. – mówi Wiesława Lebosz, od 17 lat chora na stwardnienie rozsiane.

Pani Wiesława dodaje, że najważniejsze to się nie załamywać. Z tą chorobą też można żyć i cieszyć się każdym dniem. Ważne, by ją zaakceptować i systematycznie się rehabilitować.

KRZYSZTOF DĘGA

NZOZ Centrum Rehabilitacji dla Osób Chorych na Stwardnienie Rozsiane,
ul. Szpitalna 5, 78-449 Borne-Sulinowo,
tel. (094) 373-38-05,
faks (094) 373-38-06,
e-mail: centrum_sm.brne@onet.eu
www.centrumsm.eu

PANORAMA PARAFII

Parafia pw. Świętej Trójcy w Róży Wielkiej

W trosce o przyszłość

Kościół parafialny w Róży Wielkiej znajduje się pośrodku wioski, na niewielkim wzniesieniu. Został wybudowany w 1832 roku w stylu neoromańskim, a poświęcony w 1833 r. Na terenie parafii mieszka 1275 osób.

Choć parafia nie należy do największych, to jednak pod egidą miejscowego proboszcza ks. Marka Mackiwa rozwinęło się w niej wiele grup parafialnych. Są tu m.in. 4 róże Żywego Różańca, prężnie działa Kościół Domowy, a także wspólnota oazowa i młodzieżowe schole.

Niezbędne prace

Nowy proboszcz zaraz po przybyciu do parafii przystąpił z werwą do remontów. W kościele parafialnym w 2003 roku osuszono ściany wewnętrzne świątyni, a także otynkowano i pomalowano ścianę frontową i wieżę świątyni. Dach pokryty został specjalną farbą antykorozyjną. Rok później kościół zyskał też nową elewację zewnętrzną. W ubiegłym roku w kościele parafialnym wyremontowano prezbiterium, a także dokonano remontu zakrystii. W kościele filialnym w Łomnicy, w której do tej pory nie było zakrystii, wybudowano ją od nowa. W innym kościele filialnym w Leżenicach pomalowano dach kościoła.

Najstarszym zabytkiem w parafii jest barokowy konfesjonał z XVIII w. Godną uwagi jest także zabytkowa chrzcielnica z początku XX wieku.

Bardzo dobrym posunięciem było wpisanie wszystkich kościołów do rejestru zabytków. Pozwoliło to parafii starać się o dotacje na ich remont. A trzeba remontować niemalże wszystko, równocześnie ścigając się z czasem. Niestety jest on bezlitosny dla wiekowych budowli.

Najbliższe plany

Ksiądz proboszcz złożył już wniosek o remont kościoła filialnego w Kępie. Z remontem trzeba także spieszyć się w kościele w Łomnicy, gdyż pękają w nim mury. Powstało podejrzenie, iż przyczyną takiego stanu rzeczy są ruchy geologiczne.

W związku z tym na zlecenie wojewódzkiego konserwatora zabytków, inż. Adama Chudego, pobrano już próbki ziemi do badań. Wyniki będą wskazywały, co należy



KRZYSZTOF DĘGA

zrobić, by kościół dalej nie niszczał.

Jesienią ubiegłego roku przy wyjeździe do Piły powstała nowa kapliczka. Postument i cokół ufundowała Spółdzielnia Produkcyjna „Świt” z Róży Wielkiej. Figurkę ufundowała siostra Gabriela Olecka, pallotynka pochodząca z Róży Wielkiej, która obecnie służy w Rzymie. Uroczystość poświęcenia figury odbędzie się na początku maja. Parafie czekają także z niecierpliwością na coroczny konkurs na najpiękniejszą i największą palmę wielkanoconną. Jego rozstrzygnięcie odbędzie się w trakcie świąt wielkanoconnych.

KRZYSZTOF DĘGA



KS. MAREK MACKIW

Wyświęcony 26 czerwca 1990 r. w Koszalinie. Do chwili obecnej pracował jako wikariusz w Róży Wielkiej, a później w Mielnie, Kołobrzegu, Białogardzie, Wałczu i od sierpnia 2001 r. jako proboszcz w Róży Wielkiej.

Kościół parafialny w Róży Wielkiej został wybudowany w 1832 r.

ZDANIEM PROBOSZCZA

Gros ludzi w naszej parafii to osoby bardzo dobre, oddane Kościołowi i głęboko wierzące w Pana Boga. Chciałbym podkreślić, że duży wpływ na to mają pracujące tutaj katechetki – Renata Szczech i Beata Kowalczyk. Panie potrafią pięknie ze sobą współpracować. Pani Renata dodatkowo od 2 lat zajmuje się w naszej parafii poradnictwem rodzinnym. Możemy pochwalić się także, że w tym roku klerikiem Wyższego Seminarium duchownego w Koszalinie został Konrad Rogala. Przy każdym kościele jest rada parafialna, która zabiera głos w sprawach ważnych dla kościoła oraz pomaga proboszczowi. W ostatnim czasie parafianie z Kępy sami ogrodzili miejscowy kościół i wyłożyli polbruk. W ubiegłym roku Koło Łowieckie „Róża” ufundowało dębowe drzwi wejściowe do kościoła parafialnego. Korzystając z okazji, chciałbym także podziękować za dobrą współpracę miejscowym władzom, m.in. burmistrzowi Trzcianki Markowi Kupsiowi oraz byłemu wójtowi Szydłowa Zdzisławowi Marciniakowi, a szczególnie wszystkim moim parafianom.

Zapraszamy na Msze św.

- Róża Wielka: niedziela – 10.00, dni powszednie (wiosna–lato) – 18.00, (jesień–zima) – 17.00
- Leżenica: niedziela – 8.30, piątek – 17.00
- Kępa: niedziela – 11.30, wtorek – 17.00
- Łomnica: niedziela – 13.00, czwartek – 17.00

Kapliczka przy wyjeździe do Piły powstała jesienią ubiegłego roku

